Opinie

Szóste kryterium, czyli euro a sprawa polska

W PRL przekomarzaliśmy się, że o cenach można jak o miłości – bez końca. Wszyscy się na tym znali, każdy miał coś do powiedzenia, a trudności się piętrzyły, problemy się wlekły. Podobnie jest obecnie z euro, tym wielkim projektem europejskim, który jakże istotnie dotyczy również Polski, czyli nas wszystkich. Dyskusje dotyczące euro okresowo się ożywiają, zarówno w państwach je używających, których jest więcej niż tylko 19 członków Unii Europejskiej, jak i tych spoza tego obszaru. Oczywiście, najżywsze są w krajach, które według jednych muszą wprowadzić euro, zdaniem innych mogą, a w opinii jeszcze innych nie muszą i choć mogą, to nie powinni. I końca tych sporów nie widać.

PIOTR GUZIK

GRZEGORZ W. KOŁODKO

Ze względów ekonomicznych do euro nadajemy się bardziej niż kiedykolwiek, natomiast do Unii jako takiej mniej niż kiedykolwiek. Co z tym zrobić?

Zbyt silny złoty osłabia gospodarkę

Po mojej wypowiedzi w telewizji „Rzeczpospolitej", przytoczonej w skrócie w druku („Euro to też zysk polityczny", 5 stycznia 2018 r.), jeden z internautów napisał: „Wydaje mi się, że do artykułu wkradł się błąd: »Partnerzy, do których eksportujemy, będą chcieli, żeby złoty był jak najmocniejszy«. A nie najsłabszy? Im tańszy złoty, tym taniej przecież zaimportują". Tak, ale kraje, do których eksportujemy, preferują własną produkcję, nakręcanie swojej koniunktury. Jeśli złoty jest słaby, to ich import z Polski jest tani, ale zarazem bardziej konkurencyjny dla ich krajowej produkcji. I odwrotnie; słaby kurs euro (a więc silny kurs złotego) powoduje, że import do Polski przykładowo z Austrii czy Belgii jest dla nas relatywnie tańszy (mniej nas kosztuje, licząc w złotych) w porównaniu z sytuacją, gdyby euro było silniejsze. Problem polega na tym właśnie, że jak pieniądz zagraniczny jest tańszy, to więcej się importuje; tak jak teraz przy kursie złotego 4,15 za euro w porównaniu z kursem o 30 groszy wyższego rok temu. To jest korzystne, jak importujemy towary, których w Polsce nie możemy w ogóle (np. pomarańcze) albo nie potrafimy konkurencyjnie (np. smartfony) wytwarzać.

Złoty jest obecnie wobec euro silniejszy niż rok temu (wzmocnił się, nastąpiła jego aprecjacja) i jest dla zagranicy droższy, bo o ile rok temu kosztował ją 0,23 euro, o tyle teraz 0,24. W przypadku dolara ta różnica jest dużo większa wskutek zmiany kursów krzyżowych; euro wzmocniło się wobec dolara z 1,05 z do 1,20. W konsekwencji złoty wzmocnił się jeszcze bardziej wobec dolara i dla posiadaczy dolarów podrożał z 0,24 do 0,29 dol. za 1 złoty.

Zbyt silny, przewartościowany złoty oznacza, że zaprzestaje się w kraju produkcji tych towarów, których import staje się tańszy. Miejsca pracy, zyski, dochody budżetowe transferowane są wtedy za granicę. No i rośnie poparcie polityczne dla elit rządzących w kraju, który na tym korzysta. Politycy wolą raz to silniejszy pieniądz, innym razem słabszy. Silny złoty sprzyja ograniczaniu inflacji poprzez tańsze towary z importu czy też tańszą turystykę wyjazdową. Zarazem tenże silny złoty daje mniejsze wpływy eksporterom, co z kolei skutkuje relatywnie mniejszą produkcją, mniejszym zatrudnieniem, zyskami i wpływami podatkowymi.

Gdy jest dobra koniunktura, jak obecnie w Polsce, politycy – najczęściej myślący krótkookresowo – woleliby silniejszą walutę, bo dobra koniunktura zmniejsza bezrobocie i przy silnej walucie blokuje inflację. Gdy koniunktura jest zła, wolą słabszy pieniądz, bo poprzez większe wpływy z eksportu pobudza to produkcję i zatrudnienie oraz zwiększa wpływy budżetowe. Gdy w ślad za tym, niestety, przyspieszy wskutek importowanej drożyzny inflacja, zmieniają zdanie. I tak się szarpią; raz się przez chwilę cieszą, jak euro jest po 3,50, kiedy indziej, gdy skacze do 4,50. Tam gdzie jest euro, na przykład w relacjach ekonomicznych między Francją i Hiszpanią, nie ma problemu takich wahań, tam gdzie go nie ma – choćby w Polsce i naszych relacjach z eurolandią – niestabilność kursu, a zwłaszcza nieprzewidywalność kierunku, natężenia i częstotliwości jego zmian może być istotnym problemem, podobnie jak to już bywało w przeszłości.

> By przystępować do europejskiej unii walutowej, wszystkie kryteria trzeba spełniać w trwały, samopodtrzymujący się sposób. Czy tak jest? Niekoniecznie.

Kryteria konwergencji

Na mocy traktatu ateńskiego Polska, podobnie jak wszystkie nowe państwa członkowskie, ma prawo i obowiązek przystąpić do obszaru wspólnej waluty euro. Z prawa tego nie korzystamy, obowiązku nie wykonujemy, chociaż wreszcie spełniamy wszystkie kryteria fiskalne i monetarne. Spełniamy kryterium inflacyjne, bo stopa inflacji nie jest wyższa o więcej niż 1,5 punktu procentowego powyżej średniej dla trzech krajów UE o najbardziej stabilnych cenach. Spełniamy kryterium stopy procentowej, bo średnia długoterminowa stopa oprocentowania nie jest wyższa o więcej niż 2 punkty procentowe od średniej dla trzech krajów o najbardziej stabilnych cenach. Stabilny jest kurs walutowy, który podczas minionych dziewięciu miesięcy oscylował pomiędzy 4,2326 i 4,1518 złotych za euro, a więc w przedziale +/- 0,9 proc. Dług publiczny nie przekracza 60 proc. PKB, i to już od początku tego stulecia. Co najważniejsze, spełniamy też drugie kryterium fiskalne, bo deficyt budżetowy nie przekracza 3 proc. PKB. Pozostaje zatem jedynie zmiana stosownego zapisu konstytucji (art. 227. 1.) mówiącego, że to NBP ma „wyłączne prawo emisji pieniądza oraz ustalania i realizowania polityki pieniężnej" i że to on „odpowiada za wartość polskiego pieniądza".

By przystępować do europejskiej unii walutowej, wszystkie kryteria trzeba spełniać w trwały, samopodtrzymujący się sposób. Czy tak jest? Niekoniecznie. Sam zwracam uwagę na ryzyko wahań kursowych i o ile w dłuższym okresie można oczekiwać wzmocnienia złotego wskutek szybszego wzrostu wydajności pracy w Polsce niż w eurolandii, o tyle może się zdarzyć, że kurs ten załamie się w wyniku ucieczki zagranicznego kapitału czy ataku spekulacyjnego. Nikt nie jest w stanie zaatakować spekulacyjnie euro, ale wystarczy skoordynowana akcja kilku potężnych funduszy czy banków inwestycyjnych, by skutecznie zaatakować złotego.

Największe wyzwanie to poziom deficytu budżetowego. Do końca 2019 roku żadna z wpływowych organizacji międzynarodowych i agencji ratingowych nie prognozuje deficytu powyżej 3 procent PKB. Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, OECD, przewiduje w latach 2018 i 2019 deficyt 2,3 proc., a Komisja Europejska odpowiednio 1,7 i 1,9 proc., natomiast Standard & Poors's 2,0 i 2,5 i także w 2020 roku 2,5 proc. Co prawda Międzynarodowy Fundusz Walutowy ogłosił w swych prognozach, że zanim w roku 2020 deficyt spadnie do 2,6 proc. PKB, to w latach 2018 i 2019 wyniesie 3,1 proc., ale jest to deficyt strukturalny, tzw. General Government Structural Balance, kategoria nieco inaczej liczona niż w przypadku kryteriów Maastricht, gdzie konsekwentnie stosujemy system rachunków narodowych, ESA.

Na tym tle zapowiedzi polskiego rządu, uzgodnione z NBP, choć wciąż nader optymistyczne, nie wydają się aż tak szokujące. W zaktualizowanym w minionym roku Programie Konwergencji prognozuje się bardzo niski deficyt w kolejnych latach okresu 2018–2020, odpowiednio 2,5, 2,0 i zaledwie 1,2 proc. PKB. Nie daję temu wiary i obawiam się, że już w 2019 roku Polska może ponownie przekroczyć pułap 3 proc. PKB, w ślad za czym w roku 2020 powróciłaby procedura nadmiernego deficytu, która w takiej sytuacji nałoży na nas Komisja Europejska.

Szóste kryterium i siódmy artykuł

Polska spełnia obecnie pięć finansowych, zarówno monetarnych, jak i fiskalnych, kryteriów przystąpienia do euro. Jest wszak i kryterium szóste – zgodności ustawodawstwa krajowego z Acquis communautaire, czyli porządkiem prawnym obowiązującym w Unii Europejskiej. To kryterium teraz – po wdrożeniu wobec Polski postępowania w ramach artykułu siódmego traktatu europejskiego w związku z zarzutem nieprzestrzegania istotnych dla UE zasad praworządności – staje się najważniejsze. Gdyby Polska nie należała do UE i dopiero doń aspirowała, to nie zostałaby przyjęta, gdyż zdaniem Komisji Europejskiej nie spełnia kryteriów członkostwa, nie przestrzegając nie tylko pryncypiów i wartości leżących u podstaw tego ugrupowania integracyjnego, lecz i własnego prawa, łącznie z konstytucją. Polityka działa tak, że ze względów ekonomicznych do euro nadajemy się bardziej niż kiedykolwiek, natomiast do Unii jako takiej mniej niż kiedykolwiek. Co z tym zrobić?

Najlepiej byłoby usunąć przyczyny, które doprowadziły do uruchomienia artykułu siódmego i równolegle zgłosić akces w sprawie przystępowania do euro. Oczywiście, to miałoby sens, gdyby na równoległych torach biegła polityka społeczno-gospodarcza, która uniemożliwi przekroczenie 3-procentowego deficytu budżetowego. Niestety, bynajmniej tak nie jest, bo sztywne wydatki budżetu są zwiększane, a przyszłe dochody wcale nie muszą proporcjonalnie rosnąć. Doprawdy tu potrzebna jest polityka na miarę męża stanu, bo chodzi o polską rację stanu.

Trzeba pozyskać społeczeństwo

„Jest jeszcze daleka droga do osiągnięcia bardziej realnej konwergencji z twardym rdzeniem strefy euro", powiada premier Morawiecki i, niestety, nie daje się przekonać, że już warto i trzeba rozpocząć procedury polityczne i techniczne, analizy i negocjacje prowadzące do przystąpienie do obszaru wspólnej waluty europejskiej. Nie podziela argumentów głośno i często zgłaszanych od z górą roku, nie zrobił na nim większego wrażenia niedawny list lobbystów przedsiębiorców i grupy kilkunastu ekonomistów („Przyjęcie euro – list otwarty. Premierze Morawiecki, już czas na euro", 3 stycznia 2017 r.). „Jeśli chodzi o wejście Polski do strefy euro, to nie ma zmiany naszego podejścia, naszej retoryki w tym względzie; to nie jest dzisiaj temat, który bierzemy pod uwagę", odpowiada premier, a więc osoba absolutnie kluczowa w tej sprawie. Jest tu słowo „dzisiaj", co oznacza „obecnie", ale choć ponoć to Churchill powiedział, że tydzień w polityce to długi okres, nie sądzę, aby zainicjowanie procesu przystępowania Polski do euro weszło na polityczną agendę rządu premiera Morawieckiego nie tylko podczas kilku następnych miesięcy, lecz nawet dwu kolejnych lat.

Cóż, trzeba będzie poczekać. A szkoda, bo wdrożenie euro, przy korzystnym kursie wynoszącym około 4 złotych, wzmocniłoby konkurencyjność polskiej gospodarki i poprawiło jej perspektywy rozwojowe. Przedsiębiorcom pomogłoby wyeliminowanie ryzyka związanego z chwiejnością kursu walutowego w obszarze euro, z którym realizujemy grubo ponad połowę naszych obrotów handlu zagranicznego, a ryzyko to destabilizuje oczekiwania i może zniechęcać do inwestowania. Spadłyby koszty transakcyjne, które ponosimy, sprzedając i kupując za granicą oraz podróżując. Potaniałby pieniądz wskutek relatywnie niższych stóp procentowych, a przecież oczekuje nas seria ich podwyżek, co podniesie koszty kredytów konsumpcyjnych, obrotowych i inwestycyjnych. Można by zasadniczą, 75 do 80 proc., część rozwiązywanych przy okazji konwersji rezerw walutowych, aktualnie sięgających równowartość pół biliona złotych, wykorzystać na spłatę długu zagranicznego, zmniejszając przy okazji budżetowe koszty jego obsługi; wygospodarowane w ten sposób środki można by przeznaczyć na poprawę finansowania służby zdrowia.

My swoje, rząd swoje... Groch o ścianę? Bynajmniej. Trzeba bowiem prowadzić na ten temat spokojną, rzeczową debatę – bo są też przecież związane z konwergencją określone koszty i pewne ryzyko – po to, aby pozyskiwać do grona zwolenników euroizacji Polski jak największą część społeczeństwa. Kropla drąży skałę, a dość ona miękka w tym przypadku, bo choć teraz nie, to nie tak dawno temu większość była za wprowadzeniem euro. Za jakiś czas znowu będzie, tylko trzeba konsekwentnie wyjaśniać, że problemy w krajach południowej Europy nie wzięły się z tego, iż jest tam euro, lecz ponieważ prowadzono tam złą politykę gospodarczą. Trzeba argumentować, że można się obejść bez własnej waluty, bo choć to eliminuje z istoty rzeczy możliwość jej osłabienia w celu poprawy międzynarodowej konkurencyjności, to taka poprawa byłaby co najwyżej krótkookresowa, a ponadto można przecież prowadzić mądrą politykę, która wzmacnia, a nie osłabia konkurencyjność. Trzeba dowodzić, że konwergencja walutowa nie spowoduje żadnego dodatkowego impulsu inflacyjnego w warunkach głębokiego rynku konsumenta i ostrej konkurencji o klienta.

Jeśli zdecydowana większość ludu pracującego i niepracującego miast i wsi będzie za euro w Polsce i za Polską w euro, to nacisk społeczny na władzę wymusi zmianę jej politycznego stanowiska w tej sprawie. To musi trochę potrwać i szkoda, że w tym czasie nieco więcej niż mogłoby być w przypadku euro w obiegu, będzie tych niepracujących, a ci pracujący będą swój dystans dochodowy wobec bogatszych krajów Unii Europejskiej niwelowali trochę dłużej.

> Nikt nie jest w stanie zaatakować spekulacyjnie euro, ale wystarczy skoordynowana akcja kilku potężnych funduszy czy banków inwestycyjnych, by skutecznie zaatakować złotego

Dixi et salvavi animam meam. ©℗

Prof. Grzegorz W. Kołodko, najczęściej na świecie cytowany polski ekonomista, członek Europejskiej Akademii Nauki, Literatury i Sztuki, autor ekonomicznych bestsellerów, wicepremier i minister finansów w latach 1994–1997 i 2002–2003. Wykłada w Akademii Leona Koźmińskiego.